

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Reformateurs et publicistes de l'Europe — Moyen Age, Renaissance”. Studium członka Instytutu pana Frank. — „Memoires du Marquis de Beauvais-Nangis” wydane przez Towarzystwo historii francuzkiej. — „Pamiętniki kardynała Consalvi” wydane przez pana Crétineau-Joly. — Kurs profesora d'Archiac, jego rozbiór książki Darwin'a „O początkach gatunków.” Flourens'a badania téjże książki. Spór o pokolenia samorodne. — „Contes des Paysans et Patres Slaves, traduits en français et rapprochés de leur source Indienne” par Alexandre Chodźko. — „Gładyatorowie” romans starożytny pana Whyte Melville. — „Le Secret du Bonheur” przez Ernesta Feydeau. — Wiadomości literackie.

Do nazwy dzieła pierwszego rzędu, słuszne w tym czasie posiadają prawo *„Reformatorowie i publicyści europejscy z wieków średnich i odrodzenia”*.

Znakomite to dzieło członka Instytutu Frank'a, jaśniej niż zwykłemi przymiotami prac tego profesora i zaleca się erudycyą, z której autor snuje nauczające zestawienia i sprzeczności, stylem jasnym, zdrowym sądem nieznoszącym paradoxów; zasadami wyraźnie określonymi, nadającemi krytyce cechę moralną: nakoniec, miłością sprawiedliwości i swobody nader silną, chociaż umiarkowaną.

Frank zamknął się tym razem w okresie dziejowym od upadku państwa rzymskiego, do 1600 r. Nie przedstawia on wszystkich znakomitości politycznych i religijnych owego czasu, tylko wybraawszy z pomiędzy nich niektóre, tych wizerunki starannie podaje w porządku naukowym i dostatecznej liczbie, ażeby można było iść

za ruchem teoryj politycznych od początku wieków średnich aż do czasu odrodzenia.

W pierwszym okresie (1250—1350) opowiedzianym najszczegółowiej, czytelnik widzi tylko jedną, czysto teokratyczną społeczność, w której władza świecka zaledwie zaczyna się ukazywać nieśmiało. Jój spór z powagami duchownymi, jest jedyną zajmującą i żywotną kwestyą owego czasu.

W dyskusyi tej uderza przedewszystkiem jój ton i postawa dyskutujących z sobą przeciwników.

Najpierw święty Tomasz z Akwinu przychodzi około roku 1250, po śmierci cesarza Fryderyka IIgo. Cesarstwo daremnie miotając się przeciw prawom kościoła, z rąk Ryszarda Cornouailles przechodzi w ręce Alfonsa Kastylskiego. Święty Ludwik zajęty krucyatami, czołem bije przed stolicą apostolską; przeto spór interesów ziemskich drzemie w owój chwili, a same doktryny moralne ścierają się z sobą bez drażniącego domieszania polityki.

Z tego układu interesów i usposobienia umysłów, wynika cecha ogólna pism świętego Tomasza z Akwinu. Troszczy się on o ustalenie zasad, a nie o bronienie ich przed napaścią stronnictw; pisze rozprawy, nie panflety, lub apologie; występuje w dziejach spokojny i pogodny, jako ojciec kościoła, zajęty ideami i prawdą daleko więcej, niż ludźmi i polityką. Raz tylko, i to w łonie kościoła, wmięszał się do rzeczy tego świata, kiedy popierał sprawę zakonów żebrzących przeciw uniwersytetowi.

Wizerunki następne: Idzi z Rzymu, Michał z Ceseny, Ockam i Dante, mają już zupełnie inną fizyonomią. Pojawili się około roku 1300, w chwili rozpoczęcia na nowo wojny pomiędzy papieżami i cesarzami: Bonifacym VIII, Filipem Pięknym, Henrykiem Luxemburskim, Ludwikiem Bawarskim i t. d.

Prawo mocniejszego nie wystarcza już uszlachetnionym przeciwnikom: chcą oni usprawiedliwić swoje roszczenia. Rozprawy z owój epoki mają więc charakter odrębny: zamiarem, jeżeli nie tonem, są panfletami, lub panegirykami wystosowanymi na urząd; jestto rodzaj filozofii wojującej, nieco stronniczój. W 1303 roku, Idzi z Rzymu, napisał za Bonifacego VIIIgo sławne „*De Ecclesiastica*

potestate". W tejże epoce, prawodawca na francuzkim dworze dowodził niepodległości władzy doczesnej w rozprawie pod tytułem: „*O dwóch potęgach*".

Michał z Cezeny, Ockam i Dante oddali swój talent pisarski na usługi Ludwika Bawarskiego. „Bronń mnie orężem, mówi Ockam do cesarza, ja ciebie będę bronił piórem". Czem Laguerronière był czas jakiś przy Napoleonie IIIcim, tém samém byli roku Pańskiego 1300, wymienieni pisarze przy papieżu i monarchach: przedstawiają oni rodzaj półurzędowego dziennikarstwa.

Zjawisko jest ciekawe: pierwszy raz bowiem potęgą świata tego, poczuły potrzebę bronienia się argumentami nie spiżowemi, i zasięgania rady ludzi myślących.

Wszystkie te rozprawy komentowały uniwersytety, jedyne czynniki rozpowszechniające pojęcia pod nieobecność druku. Tą drogą wyrób umysłów wyższych dochodził do opinii publicznej i stwierdzał istnienie téj potęgi, nieznanéj w poprzednich wiekach.

Sposób pisania i pojęcia owych rozprawiaczy, niemniej zajmujący jak ich wystąpienie.

Na pierwszy rzut oka, czytającemu te elukubracye może się wydawać, że owe, tak oczernione wieki średnie, wymyśliły wszystkie teorye polityki tegoczesnej. W utworach publicystów XIIIgo i XIVgo wieku, znajdziesz wszystkie pojęcia dziś nowemi zwane: prawią o odłączeniu państwa od kościoła, o wolności sumienia, o równości ludzi, o wszechwładztwie ludu, różnicy władzy prawodawczej i władzy wykonawczej i t. d. Ale te wszystkie piękne rzeczy są tam tylko jako retoryczne kwiaty, jako osobiste fantazye mniej więcej rozciągle i udatne. Nie posiadają jeszcze żadnego z tytułów, które później wprowadziły je w naukę i uczyniły z nich zasady mądrości praktycznej zdrowego rozsądku.

Przed rokiem 1350 ludzie przemawiający w imię zasad postępowych, są jako usta gadające, mechanika syllogistyczna, przecinająca myśli na dwoje, łącząca je, lub przeciwstawiająca symetrycznie. Nigdzie nie dojrzyysz, że ten co pisze obserwował i widzi rzeczy jak są. Przeciwnik władzy doczesnej, przypomina, że pokolenie Lewi nie było spadkobiercą Izraela. Niepodległość króla fran-

cuzkiego w obec stolicy apostolskiej i cesarza, obrońca wywodzi z jego początku, odnosząc go aż do Trojan. Argumentem najsilniejszym ku podparciu obu władz, jest liczba *dwa*, gdyż to jest „liczba święta; są dwie tablice praw, dwie miłości: Boga i bliźniego”. Dante znowu dowodzi, że monarchia jest najlepszą formą rządu, bo odpowiada *jednej* władzy ciała rządzonego przez *jedną* duszę i *jednej* władzy świata rządzonego przez *jednego* Boga.

Piorunującym argumentem stronników papieży było: „że Bóg stworzył dwóch wielkich luminarzy nie równych: słońce i księżyc, symbole widome władzy duchownej i doczesnej.” Dante zbijający powyższą teorią, woła: „Takiego przykładu do społeczności zastosować nie można, bo ci luminarze stworzeni byli czwartego dnia, a ludzie szóstego.”

Taka była argumentacja ówczesna. Widocznie ci ludzie nie patrzyli, nie sądzili—zaledwie myśleli: podobnie jak dzieci z piaskiem, tak oni igrali ze słowami; jak one bańki z mydła, tak oni wydymali systematy, mając jedynie na względzie błahą rozkosz gry kolorów, lub brzęk mniej więcej napuszystego okresu. Nie znali ani potrzeby krytyki, ani potrzeby doświadczenia. Dla tego, najlepsze ich pomysły były tylko błędnym ognikiem, a dzieło ich musiało pozostać bezpłodne, bo prócz siebie nikogo nie kochali.

„*Sen pasterza*” wydany w 1376 roku przez doradcę Karola Vgo Raula Presles, wielki postęp znaczy. W doskonałym rozbiórce tego utworu, Frank dowodzi, że jeżeli nie metoda i tok myśli, to przynajmniej obyczaj polityczne i sposób pojmowania społeczności, zupełnie się w owym czasie zmieniły.

Autor „*Snu*” mniema, że kościół nie powinien mieć kłopotów doczesnych. Korzystając z opieki państwa, obowiązany jest z dóbr swoich płacić podatek, jak inni. Przywileje, które niegdyś otrzymał od panujących, nie już nie znaczą. „Skoro przywilej jest, lub zaczyna być szkodliwy rzeczy publicznej, musi być odwołany i skasowany”. Wojnę także potępia Presles: „należy ją prowadzić tylko w widokach pokojowych—wojny prywatne ani krucyaty, nie potrzebne. Żaden niewierny nie powinien być zmu-

szany ani wojną ani innym sposobem do przyjęcia wiary katolickiej". Raul de Presles radzi także skasowanie lichwy tak zohydzonej w wiekach średnich. Domaga się jednak trochę więcej sprawiedliwości dla żydów sprawiedliwych. Jeden z powodów tej względności, dość dziwny jest, że żydzi są archiwistami chrześcijaństwa, ponieważ wszystkie jego tytuły w rękę mają.

Takąż łagodność autor „*Snu*” względem czarowników zaleca: najczęściej są to tylko wizjonerzy, powiada. Mówiąc o rodzinie, przekłada jednożeństwo nad wielożeństwo, a to w interesie dzieci. W ogóle, Presles jest stronnikiem wstrzemięźliwości i duchownego celibatu, który sprzyja ważnemu życiu myśliciela.

Każde z tych pojęć wzięte oderwanie, nie miałyby wielkiej wagi; ale ich połączenie jest znaczące: wskazuje nowe stanowisko ducha, nowy sposób zapatrywania się na rzeczy, zupełnie różny od dawnego. Teokracja znika.

„*Sen Pasterza*” powiada Frank, technie nowym duchem społeczności świeckiej, która wzywa na pomoc mądrości stanu i praw sprawiedliwych, zarówno odległych od feodalnego nierządu, jak supremacyi duchownej.

Odrodzenie i reforma wyprowadzają na widownią świata, znowu zupełnie inne charaktery. Umysł ludzki szerzej otwarty, odbiera rozmaite wrażenia, próbuje metod rozmaitych, plodzi najrozmaitsze systemata. W okresie lat stu pojawił się „*Książę*” Machiavela; „*Utopia*” Tommasza Morusa, i „*Rzeczpospolita*” Jana Bodina.

Frank ocenia trafnie te trzy wielkie utwory.

W Machiawelu, powiada, metoda uderza. Nie studjuje on, jak jego poprzednicy, idealnego wizerunku spokojnej społeczności, ale ją bada w jej rewolucjach historycznych, w Rzymie i Florencyi. Nie buduje z dala od świata, oderwanej teorii, którą następnie nałoży światu; różnice rozmaitych form rządu zajmują go mało: nie troszczy się o to który lepszy. Powietrzne te budowy politycznej statystyki, wydają mu się błahe; siła i ruch go przyciąga, nie zaś spokojne obrysy z góry ułożonego systematu. Jestto człowiek żywy i rzeczywisty—człowiek nieustannie patrzący z namiętną ciekawością psychologa.

Jakoż, skoro wpatrzymy się w Italią XIVgo wieku, zarazem tak rozkiełznaną i wyrafinowaną, nie uderzają tam najwięcej pierwsze zarysy regularnej społeczności politycznej, ale człowiek — jednostka. Społeczność owa była przedewszystkiem bohaterską; widać to z portretów pędzla wielkich malarzy, z anegdot i kronik ówczesnych. Pod zbytkiem strojów i pozorną lekkością dworską Urbana, jest dziki człowiek, okrutny i silny, jak myśliwiec tropiący zwierzynę, jak zbójca zakochany w swój dowiedzionej zwycięstwem, zręczności.

Oto podstawa politycznej moralności Machiawela. Dla niego prawo, to prawo człowieka silnego, zuchwałego, płodnego w podstęp; prawo lwa wspaniałego, lub chytrego lisa nad słabszą pastwą. Jeszcze ciemna idea interesu społecznego znika obok tego posągu bohatera pierwotnej potęgi, obok jego rozkiełzanych namiętności, obok królewskiej samowoli wieków pierwotnych. Francesco Sforza, Piccinino, nie mają innego tytułu do wysokiego stanowiska jakie zajęli: są mocni i zręczni — oto dla czego rozkazują słusznie. Dla nich to, i dla im podobnych, Machiawel odsłania serce człowieka i cały mechanizm namiętności społecznych, pokazuje z finezyą Labruyer'a zabłąkanego na progu XVIgo stulecia.

W Tomaszu Morus'ie czytelnik od razu poznaje męża z początku XVI wieku. Poeta, prawodawca, mąż stanu, teolog, biograf, tłumacz i naśladowca starożytnych, męczony jest ciekawością wszech rzeczy nadzwyczajną. Rozmiłowany w literaturze, chce żeby nawet kobiety się uczyły. Żywo naciera na scholastykę nie tając swojego wstępu do Alberta Wielkiego i świętego Tomasza z Akwinu. Dążności jego czysto umysłowe, nie wywarły żadnego wpływu na politykę.

Badając z bliska charakter autora „*Utopii*” czytelnik przekonywa się, iż Morus był przedewszystkiem przyjacielem porządku: lubił organizować i klasyfikować. Życie swoje prywatne urządził na wzór klasztoru. Mąż i ojciec, dom swój zmienił w szkołę: żona, dzieci i słudzy uczyli się pod jego kierunkiem wszelakich nauk — nawet muzyki.

Rzadko się zdarza, ażeby umysły tak miłujące regułę w życiu domowym, były w publicznym zawodzie szczeremi przyjaciółmi wolności.

Morus nie był też wcale pobłażający. Jako mąż stanu występuje wprawdzie liberalnie, ale nie trzeba ufać teorii tolerancyi wyrażonej w „*Utopii*.” Po napisaniu panegiryku pobłażania, Morus gwałtownie powstaje na Lutra, i wszelkimi siłami namawia możnych świata tego, żeby *przemocą* poskramiali odszczepieństwo. „Palenie heretyków, jest, powiada, karą prawą, rzeczą potrzebną, sprawiedliwą, zgodną z interesami i prawami mądrzej i przewidującej polityki (to jego własne słowa). Człowiek któremoby nie można dowieść, że jest heretykiem, ale którego odszczepieństwo podejrzewają sąsiedzi tak dalece, że za jego prawowierność zaręczyć nie śmieją, zasługuje na karę, za to, iż upoważnił swoim postępowaniem taką opinią.”

Kto tak przekonany, niezawodnie w politycznej czy religijnej sprawie nie będzie pobłażający i jak najmniej miejsca zostawi swobodzie.

Taką ma cechę sławna „*Utopia*” wydana w roku 1516. Jestto niby plan nowego urządzenia społecznego, a rzeczywiście odzwierciedlenie spartańskiej rzeczypospolitej. Autor kasuje najprzód *własność*, jako przyczynę wszystkiego złego. Wszystko jest wspólne w państwie jego: sklepy publiczne otrzymują produkta przemysłu i rolnictwa. Zwolnienia pracy przy takim urządzeniu, autor obawiać się nie każe: panowanie równości zmniejsza potrzeby; ponieważ zaś nie będzie ani bogatych, ani złodziei, ani sług, ani pasożytów, nie będzie także próżniaków. Rozmaitość zatrudnień może zastąpić powab zysku. Z resztą w potrzebie, można będzie z *narodów ościennych* wziąć *sobie niewolników i najemników...*

Tu Anglik się pokazał: nie Anglia dla świata, ale świat dla Anglii stworzony. Mieszkańcy wysp brytańskich tak mniemali roku Pańskiego 1500; w roku 1864 nie inne mają przekonanie.

W rzeczypospolitej Morusa wszystko jest uregulowane. Maszyna cała idzie nakształt chronometru. Są przepisy na wszystko: ubiór, jadło, płacz i wesele, praca i próżnowanie; wszystko przewidziane i wedle zegaru rozłożone.

Cóżkolwiekbyś, teorye Morus'a żadnego wpływu na świat nie wywarły: przeminęły bez naśladowców. Ale jednak wiedzieć nie zawadzi, że pierwsza napaść na własność osobistą, wyszła od narodu, tak wyraźny mającego pociąg do *nabywania*. Dziwna rzecz, że właśnie w ojczyźnie samolubów *par excellence*, zrodziła się teorya wywłaszczenia *pro publico bono*, że mrzonka despotycznego socjalizmu jest wyrobem mózgu tego indywidualistycznego szczepu.

Uderzającą figurą w galeryi Franka jest jeszcze Bodin, prawodawca, filozof, mąż stanu, protestant z przekonania, ligista przypadkiem, uparty obrońca prawa państw i narodów. Był to człowiek niepospolity, ale pełen dziwactw i sprzeczności; te w części Frank tłumaczy mętnością czasu, w którym żył Bodin.

Umysł Bodina był potężny i czynny—ale nie miał jeszcze pewnej metody. Na półtorasta lat przed Montesquim wymyślił teoryą wpływu klimatów. Najniezawodniejsze atoli spostrzeżenia swoje, przeplata przesadami astrologicznymi. Ludy północne, powiada, dla tego lubią wojnę, że są pod wpływem planety *Marsa*.

W 1589 r. Bodin przystał do ligi. W długiej przemowie żywo napastował Henryka IIIgo, a przypominawszy że ten monarcha jest sześćdziesiątym trzecim królem francuzkim, oświadczył zgromadzeniu, że sześćdziesiąty trzeci rok wieku człowieka, jest sokiem klimaterycznym najczęściej dlań zgubnym. Dla Francyi podobnie zgubnym będzie. Rzecz widoczna, że scholastyczne niedorzeczności jeszcze w najsilniejszych głowach pokutowały.

Ale od ludzi owej epoki zawichrzeń i rozdwójów, trudno żądać logiki. Walki religijne zawichrzyły królestwa, prowincye i rodziny. Pisarze protestantcy później nieco od pisarzy ligi, namawiali jawnie do królobójstwa. Inni, zalecali rządy arystokratyczne, a kiedy każda prowincya do innego należała pana, rząd arystokratyczny był rozczłonkowaniem Francyi.

Rozdwojenie i rozbrat broił wszędzie. Stanowczy charakter polityce Bodin'a nadało właśnie to rozprzężenie Francyi: zwrócił się żywo, nie ku tyranii, ale ku jedności władzy. W polityce oświadcza się za monarchią kon-

stytucyjną z dwiema izbami. Stany powszechnie i senat. W rodzinie potępia niewolę, ale żonę za niższą od męża uważa, bo „ona przedstawia poządliwości, on wyobraża rozsądek.” Ojcu zostawia władzę swobodnego rozporządzania majątkiem bez testamentu, radby nawet zwrócić mu dawne prawo życia i śmierci nad dziećmi.

Bodin jest przede wszystkim obrońcą powagi; uczucie wolności w jego polityce bardzo słabe; uczucie potrzeby rękoi, jest w nim przeciwnie, nader mocne: cześć prawa posuwa do bałwochwalstwa. Za dni naszych Bodin byłby przeciwnikiem pana Tocqueville, i zająłby miejsce w rządzie doktrynerów, ażeby wraz z Guizotem rozmyślać nad utworzeniem władzy *tegiej* przy wolnym rządzie.

Panowie Monmerqué i Taillandier dwaj urzędnicy rządowi, wydali nakładem Francuzkiego Towarzystwa Historycznego, dwa ważne dokumenta rzucające żywe światło na czasy ligi i fröndy.

W pierwszym dokumencie (Mémoires du Marquis de Beauvais—Nangis) występuje rycerski szlachcic, Beauvais de Nangis, który powołany będąc przez Henryka III na radę, gdzie uchwalono zamordowanie księcia Guise, oparł się temu, i odtąd był wierną podporą sprawy Henryka IV.

Drugi dokument (Journal du procès du Marquis de la Boulaye) pokazuje samowolny i zawadyacki charakter pana francuzkiego, Ehalarda de Boulay, który niezadowolony tём, że go nie zrobiono pułkownikiem stu-szwajcarów na miejscu teścia duka de Bouillon, przeszedł na stronę fröndy, co dało powód do procesu.

W procesie tym, obfitującym w szczegöły zaznającą z obyczajami owego czasu, figurują tak zwani świadkowie brewetowani (Témoins à brevet). Byli to szpiegowie opatrzeni brewetem krölewskim upoważniającym do wchodzenia w stosunki ze spiskowymi. Na takim upoważnieniu znajdował się własnoręczny podpis kröla, nagłówek zaś był następujący: „Brevet du roy, donné à * pour luy servir d'indemnité contre le crime qu'il aurait pu contracter avec les séditieux.”

Brewet brzmiał jak następuje:

„Król ostrzeżony że w jego mieście Paryżu mają miejsca zgromadzenia szkodzące jego władzy i spokojowi jego poddanych, zważywszy iż ważną jest rzeczą wiedzieć co się w tych zgromadzeniach dzieje; JKrólewska mość polegając na wierności i przywiązaniu pana X, nakazał jemu i nakazuje z wiedzą królowej regentki matki, czuwać nad wyż wspomnianemi zgromadzeniami; znajdować się na nich i konferować z kim mu się podoba, celem odkrycia tam knowanych zamachów przeciw służbie i spokojowi publicznemu, i zdawać z tego sprawę Jego Królewskiej mości z dnia na dzień, nie będąc posądzonym o wykroczenie przeciw królowi z powodu wdawania się ze spiskowymi.” — Dan w Paryżu 12 listopada 1649 roku. — podpisano: „Louys.”

Powyższy dokument historyczny dowodzi, że jeżeli policya dzisiejsza nie się nie nauczyła, to także nie nie zapomniała; ta tylko różnica, że dziś podpis panującego tak nisko nie schodzi.

Wydawca znalazłszy w rękopiśmie własnoręcznym Pamiętnik Margrabiego de Nangis, złożył drogocenne pismo Towarzystwu Historji Francuzkiej, które wydawnictwo manuskryptu niezwłocznie upoważniło.

Francuzcy historycy czytają z największym zajęciem obie te publikacye, nie mogąc się nachwalić gallickiego ich humoru, oraz jasności z jaką z nich występują dwie najburzliwsze i najdramatyczniejsze epoki w dziejach Francji.

Do publikacyj ważnych należą *Pamiętniki kardynała Consalvi*, wydane przez Crétineau-Joly.

Kardynał Consalvi brał udział w ważnych wypadkach, był sekretarzem konklawy która obrała Piusa VII, potem pierwszym ministrem tego papieża i plenipotentem jego w Paryżu, do zawarcia konkordatu. Przez sześć lat rządził państwem kościelném; naczelnik opozycyi kardynałów w chwili zawarcia małżeństwa Napoleona z Maryą Ludwiką; wygnany; następnie po upadku cesarstwa, przywrócony, pisał o ważniejszych okolicznościach swojego

życia pamiętnik ciekawy nie tyle przez podane fakta, ile przez wyroki wydawane o ludziach i rzeczach.

Wydawca, pan Crétineau-Joly poprzedził książkę przedmową, w której jako obrońca starego rzeczy porządku, zgromadził wszystkie nienawiści religijne przeciw duchowi nowszych czasów. Pan Joly więcej niż nad kardynałem, nad władzą doczesną się zastanawia. Pamiętnik pralata jest tylko dla niego dobrą sposobnością do wystąpienia przeciw jedności Włoch, lżenia jej całą artylerią ultramontańskich obelg ciężkiego kalibru, i deklamowania za prawem papieży do władzy monarszej. W ten to sposób wydawca poleca pamiętniki kardynała Consalvi.

Jeżeli czytelnik mimoto książki nie rzucił, jeżeli się nie zraził zajadłością wstępu, nie harmonizującą bynajmniej z ogładną i poważną relacją kardynała, będzie wynagrodzony za cierpliwość swoją w dalszym ciągu.

Wyobrażenia kardynała Consalvi nie są z tego wieku; całość ich przedstawia smutne dążności polityki stolicy apostolskiej; ale autor wyraża się z umiarkowaniem i godnością odpowiednią stanowisku księcia kościoła.

Figura Consalviego jest typowa: uosabia on wybitnie owe natury dziwne, księżę i włoskie zarazem, religijne i dyplomatyczne, których tak wiele wydała Italia. Biegły mąż stanu umie nagiąć się w potrzebie, ale w ustępstwach jego zawsze plan odwetu się kryje: daje, tylko w nadziei odebrania; miota się wśród zasad, których nie rozumie, których niecierpi, a którym mimo to, ulegać jest zmuszony. Z goryczą patrzy na rzeczywistość, ogłędając się łzawém okiem za przeszłością, swym ideałem, którego powrotu się spodziewa. Wolność, zasady rewolucyi francuzkiej, mądrość świecka, wszystko to jego wrogi, z którymi politykuje spodziewając się ich rychłego upadku. Wypadki nie go nie uczą: zdaje mu się, iż posiada nadludzkie kryterium do sądzenia wszystkich rzeczy doczesnych. Ma wiarę. Jest delikatny, uprzejmy, ujmujący jak wszyscy Włosi. Posługuje się wszelkimi środkami zręcznej polityki energicznej, skoro w sprawie Bożej przemawia, zgodnej w konieczności, czasami ubolewającej. Trzymając się tradycyi stolicy apostolskiej, rze-

czy ludzkie miesza z boskimi, tak, że w końcu rozpoznać trudno, czy w imię króla czy w imię księdza przemawia.

Ta gmatwanina stanowi siłę kardynała Consalvi. Wie on o tém, dlatego zręcznie pokazuje krzyż w kształcie berła, a berło w kształcie krzyża.

Zresztą prałat wychowany wykwiłtnie, mówi stylem mogącym się podobać mocarzom; używa wpływu salonów, uśmiechem podbijając ich królowe i osłaniając rzeczywiste myśli welonem biegłej kazuistyki. Umie oprzeć się nawet w chwili wielkiego niebezpieczeństwa, skoro summienie księże ustąpić mu nie dozwala: wtedy kryje się pod majestat szlachetnej ofiary.

Despotyzm niezręczny, prześladowaniem czezy upór czasem w wielkość zmienia. Tym sposobem Consalvi był nie raz bohaterem.

Wygнany przez Napoleona, którego ogromny geniusz nie dość rozumiał nieruchomości oporu księzego, opartego na ślepój wierze w nieomylność nawet w rzeczach doczesnych, znalazł na wygnaniu nowe siły i urok nowy. Zostawiony sam sobie, byłby zapomniany; czeza opozycja jego, byłaby upadła pod ciężarem obojętnej łagodności; potomność byłaby w nim widziała tylko rycerza zde nerwowanej władzy, ucznia zasad teokratycznych już nieznośnych, bez silnego wroga zasad wiecznie trwałych. Prześladowany, zajmuje, gra rolę w obec wyobrazicieli rewolucyi francuzkiej, rośnie, nieomal do wielkości przeciwnika.

W tém leży zajęcie jego Pamiętników, w których najwinnie kreśli swoje wyznanie wiary i swoje starcia z przeciwnikami.

Rozpoznawszy czego kardynał bronił, historia byłaby nań patrzała z uśmiechem politowania. Ale był prześladowany.... o mało życiem nie przypłacił energicznego oporu.... Dlatego potomność wyrokuje łagodniej: czyta chętnie jego pamiętniki, ostatecznie nie odmawiając mu szacunku należącego wszystkim ludziom, którzy z dobrą wiarą cierpieli za myśl jakąś, i walczyli przeciw mocniejszemu.

Wyszła druga część kursu paleontologii stratygraficznej, wykładanej przez profesora d'Archiac w muzeum historyi naturalnej.

Nic ciekawszego, zdaniem naszym, jak badania tego rodzaju, w których historya globu ziemskiego występuje napisana we własnych jego wnętrznościach. Nic więc jej nie podnosi i nie rozszerza umysłu, jak taka nauka, nie skuteczniejsz nie poskramia pychy ludzkiej.

Radby tu przytoczyć wszystkie spostrzeżenia profesora, dotyczące początków życia i stopniowego doskonalenia istot; ale nie mogąc się rozpisywać tak szeroko o jednym przedmiocie, poprzestaję na wskazaniu ogólnych pojęć uczonego paleontologa.

D'Archiac jest najpoważniejszym reprezentantem nowej szkoły geologicznej, która odpycha przypuszczenie wstrząśnień i kataklizmów wymyślonych celem pogodzenia faktów naukowych z tradycjami szanownemi pod innym względem. Zjawiska, które uczony obserwuje w ziemnej skorupie, są stopniowe, a ich dawność przechodzi pojęcie ludzkie. Nie ma w tém wszystkim nagłych skoków, ani przerw, ani wstrząśnień. Flora i fauna przeobrażając się, zachowuje ciąg jeden. Znać ewolucye, nie rewolucye, w łańcuchu wiążącym wodną roślinę z człowiekiem, pierwszy twór z ostatnim. D'Archiac powiada: „Plan stopniowany, jednak zawsze kompletny, którego natura trzymała się aż do pojawienia człowieka, nie miał na celu istnienia, ani przyjemności tego ostatniego. Pojęcie przyczyny finalnej ograniczonej, które do dziś dnia jeszcze wiele osób ma, opierając się na powierzchowności zwodniczej pewnych danych ogólnych nie usprawiedliwionych nauką, zbyt pochlebiało naszej miłości własnej, żeby nie miało często na wierzech wychodzić. Dotąd atoli, *nie dowodzi* żeby człowiek miał być końcem, czyli ostatniem słowem stworzenia; żeby miał być, jak twierdzą, jego koroną. Myśl o tworze doskonalszym, obdarzonym przymiotami innemi, jest w zarodku we wszystkich teologiach, u wszystkich ludów wysoko rozwiniętych, jako przeczcucie tego, co przyszłość ma urzeczywistnić. W historyi ziemi, przyjście człowieka nie przedstawia nic nadzwyczajnego; nie odpowiada żadnemu zjawisku specyjal-

nemu: miesza się z innemi żywiołami fauny ziemskiej, zwracającemi, uwagę olbrzymim rozmiarem typów, z których kilka już znikło, a reszta jeszcze żyje. Charakterem fizycznymi człowiek wiąże się widocznie ze wszystkim co go otacza, jak również z tém co go poprzedziło. Ale z innych względów tak od tego różny, że niektórzy antropologowie mogli zapragnąć wierzyć w jakieś panowanie osobne, panowanie ludzkie."

Z tego widać, że d'Archiac do liczby tych uczonych nie należy. Nie powiada on tego wyraźnie dlatego zapewne, że prawdziwie uczony professor, nie wyrokuje o przedmiotach w zakres jego badań nie wchodzących.

D'Archiac wyraźniej orzeka w przedmiocie *gatunków*. Z téj okazji skreślił rozbiór książki pana Darwin, w którym zbija naturalisty angielskiego teorią *jednego początku gatunków*. Rzecz napisana jasno i zupełnie od przesądów wolna. Nie ma w książce Anglika ani jednego argumentu, któregooby d'Archiac nie sprowadził do ostatej wartości i nie zbił. Jestto jednak wzór dyskusyi grzecznej, w której przypuszczenie przeciwnika upada, ale jego osoba rośnie.

Dwa lata temu, jak wyszła w Paryżu książka Karola Darwin, traktująca o najsporniejszym przedmiocie historii naturalnej: wspólności pochodzenia gatunków tworów. Przełożona na francuzkie przez pannę Royer i wydana pod tytułem: „*De l'Origine des espèces*” zwróciła uwagę powszechną.

Czytaliśmy, jak wszyscy których zajmuje tak zwana filozofia naturalna, długie rozprawy angielskiego naturalisty, i wydało nam się, że pan Darwin nazbyt się o początek rzeczy troszczy, przez co koniecznie schodzić musi z naukowego pola. Tego rodzaju badacze, nie mając cierpliwości sprawdzać faktów aż do dna, pracują nad obróceniem ich na korzyść z góry powziętej myśli. Nauka w ich ręku staje się artykułem wiary; budują sobie kościołek mający swoją ortodoxyą: każdy prawowierny zaczyna i kończy na *Credo*.

Tą uwagę swój rozbiór rozpoczyna d'Archiac, i dodzi że takie nie powinno być usposobienie umysłu chcącego się dołować naukowej prawdy. Zmysł kryty-

czny jest koniecznie zaćmiony, skoro przed nim idzie wiara. W tym razie nie chodzi o sprawdzanie wiar, ale o badanie faktów: najbystrzejsza hipoteza jest tylko dziełem wyobraźni, a jako taka, musi być wykluczona z nauki.

Zdaniem Darwin'a, *stopniowego przeobrażenia gatunków* dokonały dwie siły naturalne, przez niego wymyślone: *współzawodnictwo żywotne i obiór*.

W roli, którą przysądza tym dwom siłom urojonym, chcąc wytłumaczyć *wykolejenie* gatunków żyjących obecnie, jest wiele rozumowań uderzających, ale ani jednego faktu, któregooby zbić nie można było. Szkoła filozoficzna zawsze chwiejąca się, może na tém poprzestać, ale nauka jest trudniejszą: to tylko za prawdę uważa, co doświadczeniem sprawdzi. Zgodność lub niezgodność z tém co zowią prawdą objawioną, mało ją obchodzi. Jeżeli nowe hipotezy tworzyć mamy, to już lepiej poprzestać na staréj.

Obiory naturalne, które wedle Darwina zapewniają zjawienie się nowych gatunków, d'Archiac uważa za czysty wymysł. Nieinaczéj uważa jego *współzawodnictwo żywotne*, skutkiem którego, w końcu braknie miejsca przy biesiadzie życia dla zwierząt słabych. Jestto prawo Malthusa rozciągnięte do zwierząt. Zresztą, przystalibyśmy na wszystko, gdyby był jaki dowód na poparcie przypuszczeń: gdybyśmy widzieli choć jeden gatunek przeobrażony *zupełnie* stopniowemi transformacyami.

Flourens wystąpił także z krytyką Darwina: tomik zatytułowany: „*Examen du livre de Mr. Darwin sur l'Origine des Espèces*”.

Flourens przeciwstawi Anglikowi swoje doświadczenie: „Darwin, powiada, pomieszał *mieniacość* gatunku z jego *przemiennością*. W tém leży wada jego teoryi. Wszystkie przytoczone przezeń fakta dowodzą, że każdy typ ulega odmianom. Nikt temu nie przeczy. Odmiany stanowią rasy, skoro mają piętno nieruchomości. Ale czyż idzie za tém, że rasa stać się może innym gatunkiem, czyli, oddalić się tak bardzo od swojego pierwotnego typu, żeby mogła ustanowić nowy? Na to pytanie Anglik nie odpowiada, zapewniając, że *tak być musiało* w szeregu

wieków; przypuszczenie posuwa za daleko: nauka dozwala temu przeczyć”.

Wszyscy ludzie z imaginacją, powiada dalej Flourens, snują systematy — systemat bowiem zasadza się na widzeniu rzeczy jednostronnie.

To spostrzeżenie stosuje do Darwin'a. „Patrzył z jednej tylko strony, i to nie z obserwatorskiej”. Jeden i tenże sam gatunek, mówi Flourens, mnoży się pomiędzy sobą do nieskończoności; zwierzęta należące do jednego gatunku są bardzo płodne, ale ich płodność jest ograniczoną: niektóre tylko mają mieszańców płodnych, a te tylko przez kilka pokoleń władzę odradzania się zachowują. Tak się ma z psem i szakalem, z psem i wilkiem, z kozłem i owcą.

„Taką jest cecha zasadnicza gatunków. Jakże po tém przypuścić *wspólność pochodzenia* wymyśloną przez pana Darwin?”

Doświadczenie, lepiej niż wszystkie wywody filozoficzne dowodzi naturalistom *nieruchomości gatunków*. Flourens przytaczając krzyżowanie zwierząt przez siebie dokonane, i krzyżowanie roślin dokonane przez pana Naudin, wykazuje jak dalece *prototypy* są trwałe. Doświadczenia pana Naudin pokazały, że mieszańcy roślinne nie ustalają się nigdy. Po kilku pokoleniach wracają niechybnie do jednego lub drugiego gatunku, który wszedł w pierwotny ich skład. Dowód oczywisty niemożności utworzenia przez krzyżowanie gatunków, a nawet pośrednich odmian. Toż samo widzimy pomiędzy zwierzętami.

Flourens kilka razy złączył psa z szakalicą. W roku 1845 otrzymał trzech mieszańców podobnych zarówno do obu gatunków. Te mieszańcy z pierwszego krzyżowania, połączone powtórnie z jednym lub drugim gatunkiem, z psem na przykład, w czwartym pokoleniu spłodziły niechybnie czystego psa. Charakter szakala coraz mniej stawał się wydatnym, aż znikł zupełnie.

Jeżeli gatunki nie pochodzą z odmian lub rasy — jakiz ich początek? Naturaliści powinni uderzyć się w piersi i wyznać, że nic o tém nie wiedzą. Flourens przypuszcza, iż wszystko podobnie się zrobiło *samo* jak te mikroskopijne *pokolenia samorodne*, które dziś narobiły tyle wrza-

wy w akademii nauk. Kontrowers wart uwagi, więc go po krótko opowiemy.

Większość naturalistów i wszyscy filozofowie prawowierni, mniemają iż żadne jestestwo organiczne nie produkuje się bez poprzedniego istnienia zarodku pochodzącego od innego, podobnego doń stworzenia: innemi słowy, mniemają, iż była raz na zawsze pierwsza kreacya wszystkich rodzaj żyjących w dzisiejszej epoce i że też rozrodziły się i rodzą jedne z drugich.

Kilku uczonych wpadło na myśl, że materya organiczna postawiona w pewnych warunkach, może organizować nagle i zrodzić istoty żywe.

Obecnie wszczął się żywy spór pomiędzy wyznawcami pierwszój i drugiej teoryi.

Stronnikami teoryi *samorodztwa* są panowie Pouchet, Joly i Musset; po stronie przeciwnój stoi członek akademii pan Pasteur. Jedni i drudzy na poparcie swojej teoryi napisali mnóstwo książek mniejwięcej ciemnych: nakoniec porwali się do broni.

Stronnicy *samorodztwa* zażądali od akademii wyznaczenia komisyi, którejby słuszność swojego twierdzenia faktami dowiedli. Stało się zadość ich życzeniu; ale ponieważ się nie mogli porozumieć z komisyą wyznaczoną do orzekania pomiędzy nimi a Pasteur'em, pp. Pouchet i Joly zreagowali memorandum kończące się temi słowy: „W obec zupełnie niespodziewanych okoliczności, które nam przeciwstawiono, sumienie nakazuje nam tylko zaprotestować tu w imieniu nauki, a zachować sobie prawo wyłożenia naszych teoryj na inném miejscu.”

Z powodu ograniczonego programem pola walki, *samorodcy* zakończywszy w ten sposób dyskusyą w akademii, postanowili odwołać się do ludu. Najwymowniejszy z nich, p. Joly podjął się przedłożyć tłumowi zgromadzonemu w amfiteatrze medycznym, argumenta i zażalenia swoich stronników. Tłok był niezmierny. Tułuzański professor prawil długo, i *przekonał* tak dalece zgromadzenie, iż zaledwie nie zażądało głowy pana Pasteur i rozwiązania Instytutu.

Mimo tak wielkiego powodzenia téj *samorodnej* prelekeyi, nie jest ona ani zwycięstwem, ani wypadkiem

naukowym. Pan Pasteur w Sorbonie, przy równie wielkim oklasku, powalił swoich nieobecnych przeciwników. Rzecz prosta: publiczność nie może być sędzią w tej sprawie. Tłumowi należy podawać wynik nauki ku jego pożytkowi: czynić go arbitrem naukowych sporów, to po prostu rzecz śmieszna.

Ze sprawa *najmniejszych* zapaliła umysły ogółu, to pojąć łatwo, zważywszy, że tu w gruncie chodzi o rozwiązanie zagadki, która po wszystkie czasy umysł ludzki turbowała: człek nie tylko radby wiedział koniec rzeczy, ale pragnie mianowicie znać swój początek. Wyjątki jedynie rugują z głowy tę troskę uważając ją za zbytęczną a nawet szkodliwą. Takich mało. Ogół chce wiedzieć. Dla tego lekcya pana Joly o *samorodztwie* tak wielkie zważyła tłumy i przypomniła wrzawę prelekcji Micheleta, Mickiewicza i Renan'a.

Alexander Chodźko professor literatury słowiańskiej w Kollegium francuzkiem, wydał zajmujący zbiór ludowych bajek słowiańskich, z uczonemi komentarzami, wykazującemi ich indyjskie pochodzenie. Książka której wnet trzy tysiące egzemplarzy rozkupiono, wyszła pod tytułem: „*Contes des Paysans et des Patres Slaves—rapprochés de leur source indienne.*”

W pięknej, tchnącej miłością ludu przedmowie, Chodźko powiada, iż może mu kto wyrzucać będzie, że śmiał porównywać bajki niepiśmiennego ludu z arcydziełami starożytnych Indyj. Toż historia, krzykną krytycy, dopiero w VIstym wieku o Słowianach wspomina—jakże mogą być starszymi od naszej ery?

Tym odpowiem, mówi professor, że to nie pierwsze i nie ostatnie zapomnienie pisaniej historii. Czyż nam wytłumaczyła, z jakiego powodu jedno z narzeczy słowiańskich, język litewski, do sanskrytu najpodobniejszy ze wszystkich języków żywych? Czyż wyjaśniła kwestyę początków i migracji innych ludów europejskich?

Dzięki Bogu, nauka roztargnienie kronikarzy naprawia. Filologia porównawcza uklassyfikowała już języki w porządku, w jakim wysnuwały się z siebie, a tém sa-

mém na tyleż ras podzieliła mówiące niemi ludy. Tym sposobem, od słowa sięgając do myśli którą wyraża, dopatrzono, że wszystkie wzniosłe rzeczy, które geniusz człowieczy począł i urzeczywistnił w Indjach, Grecyi, Italii i w chrześcijańskim świecie, że wszystkie te zdobycze są po większej części dziełem jednego szczepu, szczepu Aryasów. Po ich słowach i mytach, badacze doszli mnóstwa ogniw tradycyjnego łańcucha wiążącego ludy z tą rasą dostojną.

„Nie ulega wątpliwości, powiada Chodźko, że cała mitologia tych ludów z jednego źródła wyszła, że *Iliada* i *Odyseja* podobne do *Ramayany* i *Mahabharaty*, że Metempsykoza Pytagoresa, przypomina panteizm indyjski, a *Myśli* Platona, *Avatarasy* braminów.”

Powiastrki pełne wdzięku i prostoty, Chodźko z wielką sztuką na język francuzki przełożył. Znany tłumacz arabskiej powieści „*Trzech Derviszów*” którą niegdyś czytelników *Dodatku do Czasu* zachwycił, tym razem po mistrzowsku słowiańską naiwność wyraził, barwiąc suchą i niepoetyczną mowę Francuzów. Czerpał z czeskiego zbioru bajek zebranych przez Bożenę Niemcowę (*Slovenské Povesti*, Praga 1857), oraz studyów uczonego mytologa Erben’a i Glińskiego.

Francuzi bardzo w tych powiastkach rozmiłowani. Czynią one im zapewne wrażenie czarnego chleba z solą, który, sam jeden przesyconemu smakoszowi nawet po wykwinnym obiedzie smakuje. Jedna z tych powieści czeskich, przetłumaczona na język niemiecki ze zbioru Niemcowej, zwróciła uwagę członka Instytutu pana Laboulaye. „*Pobyt bogów na ziemi*” tak mu się podobał, iż z niego ułożył dwie najładniejsze bajki swoich *Niebieskich powieści*: „*Le pain d’or*” i „*Les douze mois*”.

Umieszczony przez Chodźkę w przypisach przekład textów indyjskich, *Mahabharaty*, *Baghavaty-Purany*, *Ramayany*, hymnów *Rig-Veda* i innych, dowodzi w istocie, nieraz dosłownego podobieństwa bajek słowiańskich z wymysłami indyjskiej fantazyi. Oryentalista nasz, skrzętną i intelligentną pracą dowiódł Francuzom prawdy słów, które Adam powiedział im niegdyś z katedry, a które on wziął za dewizę książki:

„*Les Slaves, si l'on avait réuni leurs contes populaires, auraient de quoi produire un système mythologique tout aussi vaste que celui des Hindous*”.

Bernard Derosne przetłumaczył z angielskiego zajmującą powieść pana Whyte Melville: „*Gładyatorowie*.” Nie jest ona podobną do żadnej z tych, które przemysł angielskiej wyobraźni dziś ląd stały zarzuca: nie ma w tej książce ani romansowej guwernantki, ani jasnowłosej miss, piszącej wiersze w podróżnym albumie; ani przybyłego z Indyi oficera, ani rodziny kupieckiej zajętej mocno jedzeniem sandwiczów; nie ma nawet bigamii, będącej obecnie w tak wielkiej modzie u albiońskich romansopisarzy... Nic z tego wszystkiego.

Autor, major Melville, opuściwszy Wielką Brytanią, a nawet wiek XIX, przenosi czytelnika do Rzymu, kiedy tam samowładnie panował Vitellius. Owego to czasu oświatę bada autor „*Gładyatorów*”—i szczegółowo maluje stan umysłów w tej epoce stanowczej, kiedy nowo narodzony chrześcijaństwo z trudnością rozchodziło się po świecie.

„*Gładyatorowie, czyli Rzym i Judea*” przypominają nieco Bulwera „*Ostatnie dni Pompei*.” Na tej pochwalę mógłby nawet panegirysta Melvilla poprzestać. Pisząc sprawozdanie bezstronne, dodamy dla wiadomości tych którzy powieści Bulwera nie czytali, że *Gładyatorowie* są pracą niepospolitego umysłu, starannem odbudowaniem przeszłości, galerią obrazów historycznych, w których odżywa okrucieństwo cesarskiej Romy i zapal pierwszych męczenników.

Teofil Gautier w pięknej przedmowie, którą przekład pana Derosne poprzedził, oddając należne pochwały dziełu, powiada słusznie, że autor połączył historyczną prawdę z malowniczością poetycznej baśni.

Krytycy francuzcy porównywali „*Gładyatorów*” z „*Męczennikami*.” Utrzymywali, że Melville naśladował Châteaubriand'a. Porównanie wydaje nam się niewłaściwe, a zarzut naśladownictwa zupełnie niesłuszny. Pominąwszy wszystko psującą w Châteaubriandzie napuszystość i sentymentalizm ekliwy, od którego Melville zupełnie jest

wolnym, obrazy są zupełnie inne. W *Męczennikach* chrześcijaństwo zwycięża rozkruszone pogaństwo; świat stary się wali... a na jego zgłiszczach już widać świat nowy, społeczność uorganizowaną w cieniu katakumb, zabierającą miejsce tej, której rozpasana wściekłość była konaniem.

W *Gladyatorach* Rzym jeszcze stoi wszechpotężny. Idea chrześcijańska jawi się dopiero, niby przedświt perłowy, na ciemnych fałdach pierzchającej nocy.

Jestto więc utwór zupełnie oryginalny, malujący innych ludzi i inną epokę. Tacyt opisał jej stronę polityczną, Swetoniusz despotów, Petroniusz skandale. Została nietknięta część romansopisarska. Podjął ją Melville: odbudował społeczność, wszedł do wnętrza przepysznych mieszkań patrycyuszów, do zbrojowni gladyatorów i do amfiteatrów, gdzie idący na śmierć, pozdrawiali Cezara.

Ileż splendorów w takim obrazie! ile światła jeszcze, ale jak już straszliwe cienie!..

Rzym ówczesny nie odbiegł jeszcze tak daleko od wielkich dni swęj cnoty i mężstwa, żeby już żaden ślad ducha przodków nie pozostał w potomnych. Agrykola i Trazeasz byli synami owego stulecia. W Rzymianie ówczesnej porwanej prądem zepsucia, widzisz nie raz jeszcze budzącą się nagle wielkoduszość Kornelii lub Porcyi. Świat rzymski silnie jeszcze na swojej podstawie stoi; barbarzyńcy, dopiero gdzieś za granicami podrastają. Dla powierzchownie patrzącego oka, ta społeczność ma jeszcze swoje prawa: religia, bogów i westalki — cesarstwo, skarby i pomyślność. Służebność ziem podbitych długo jeszcze pokrywała kruchość tej budowy: wrzekomo, nigdzie szczyrby. Ludzkość pochwycona w sieć zręcznej administracji, leży u nóg Rzymu, skrępowana tak mocno, że się zdaje tworzyć jedno ciało. Rzym góruje jeszcze, bo przez tradycję, historię, język i myśl swoją, jest ogniskiem oświaty ziemskiego globu. Ale zarody śmierci rosną codziennie. Roma przejęła obyczaj podbitych narodów, wzięła zbytek od satrapów Azji, rozpustę od Greków, przesady od Fenicyan i Syryjczyków; olimpijskie igrzyska zastąpiła krwawymi zapasy. Wszystko co nie widoczne w życiu ludów, wszystko co wzniosłe i święte, gaśnie powoli w umysłach. Poganizm urzędowy spróchniał; oszpe-

cona filozofia przeszła w zbydlęcenie; zapomniano wolności, powaga przybrała niedorzeczne kształty: wcieliła się w człowieka, którego wyobrażnia ludu, szalona uwielbieniem lub nienawiścią wściekła, czciła jak Boga lub zarzyła jak bydlę... Śmierć stała się widowiskiem w cyrku, chleb jałmużną, a tron kaprysem wojska.

W owym przed-dniu dnia sądnego, dreszcz przebiega świat cały, pragnienie wzdyma wszystkie piersi: w obozach sprawia je nowy Cezar; w miastach nieugaszona żądza sprośnych uciech; w małej, nader małej liczbie wybranych, pierś podnosi nieokreślona chęć lepszego żywota, wyższa od ziemi, nadzieja....

Ten jest rzeczywisty przedmiot powieści pana Whyte Melville. Zajęcie leży w obrazie—nie w wypadkach.

Sceny amfiteatru mianowicie są opisane potężnie. Tysiące głów szaleje w półcieniu rzuconym przez rozpięte *velarium*. W łożu swojej Vitelius leży jako brzemie bezwładnego cielska i spoziera szklaną żrenicą. Gładyatorowie pasują się i zarzynają na piasku przesiąkłym tygrysią posoką...

Pokazawszy cyrk, Melville przebiega ulice Romy. Potém wchodzi do domu rzymskiej damy i opisuje przepych tego pałacu. Dalej, zabłądziwszy w ogrodach Mecenusza, słyszy wrzask wojskowego buntu i patrzy na zamordowanie Vitelliusa. Następnie, z Bretonem niewolnikiem, swym bohaterem, przebywa morza i widzi Jerolimę padającą pod żelazem Tytusa—a po nad tym tłumem i mordem, spostrzega unoszącą się w górze myśl wyższą—światłość łagodną, wieczną—wiarę i miłość potężną, która ma przemienić postać zburzonego świata.

Pod wrażeniem tego ogromnego obrazu, czytelnik zamyka przeczytaną książkę powtarzając z poetą: „Galilee vicisti.”

Nowa powieść Ernesta Feydeau wyszła pod napisem: „*Tajemnica szczęścia*” (*Le Secret du Bonheur*). Tytuł powabny. Zagadka którą autor bada, była po wszystkie czasy łamigłówką ludzi. Każdy myśliciel szukał jęj rozwiązania; wszyscy filozofowie posiwieli nad tą przepaścią; wszystkie religie głębokość jęj mierzyły. Odwieczni al-

chemicy duszy, geniusze, usiłowały ją zrozumieć i określić. Przez całą anfiladę wieków kwestya szczęścia stoi przed badaczami przeznaczeń ludzkości, każdemu przedstawiając się inaczej: autor *Eklezjasty* woła, że to czcze słowo; autor *Księgi Mądrości* twierdzi, że szczęście jest udziałem wiernych i sprawiedliwych; Platon boryka się z sofistami, którzy szczęście w uciechach zmysłowych zamykają, i twierdzi, że ono mieszka w nauce. Praktyczny Mahomet, nie szuka go nawet w tém życiu, tylko w przyszłym obiecuje, od niechcenia... jakby znał polskie przysłowie: „Obiecanka cacanka, a głupiemu radość.” Hamlet pyta siebie zawsze nie pewny, czy szczęście jest w śnie śmierci?— Biedni ludziska! woła szydlerczo Rabelais, wy co szczęścia szukacie!— Na biesiadę szczęścia mało zaproszonych! mówi Hugo—a Beranger dodaje: „Mieszczanie, żebracy, króle i pałacy, kłaniają mu się zdaleka...”

Feydeau podniósł z kolei tę tylekroć potrącaną kwestyę i szuka szczęścia aż w Algieryi.

Zupełnie różny od poprzednich płodów tego autora, ostatni utwór jego ma serce. Pośród afrykańskiej przyrody, widzimy postacie szlachetne w pełnym świetle. Bohatérem powieści jest osadnik, człek sprawiedliwy i poważny, imponuje Arabom samą tylko cnotą. Wysoka ta figura nadaje dziełu niezwykłą miarę.

Dla tego sprawiedliwego męża, dla tych wszystkich, których światłem swoim i miłością otoczył, *szczęście leży w dobrym uczynku*. Oto słowa zagadki i zarazem prawdziwe przeznaczenie człowieka.

Ewangelia to powiedziała od dawna: tą myślą prostą a szczytną przewyższyła wszystkich filozofów i poetów. Mało kto jęj słuchał—i dla tego świat nieszczęśliwy. „Na pustyni tylko, powiada autor, można znaleźć wzory cnoty.”

Po cóż tak gorzką mizantropią zatruwać piękne założenie i psuć odwieczną prawdę? Szkoda, że autor przed wyjazdem do Algieryi, nie rozpatrzył się lepiej w Paryżu, gdzie niegdyś tylko po wierzchu bujając, swoją „*Fanny*” złowił. Wpatrzywszy się lepiej w ten cień tajemniczy, w którym tyle dusz cierpliwych, odważnych i zrezygnowa-

nych się kryje, byłby może znalazł nie jeden wzór cnoty wznioślejszy niż w słonecznej Algii, gdzie tak łatwo bez pokus, bez trudności i potrzeby być sprawiedliwym.

Akademia francuska odbyła swoje doroczne posiedzenie 21 lipca. Książę Broglie prezydował. Sekretarz stały Villemain zagałę odczytaniem rapportu o konkursach. Następnie czytano wyjątki z rozpraw, które otrzymały nagrody wymowy. Nakoniec, pan Broglie czytał rapport o nagrodzonych cnotach.

Pochwała Chateaubrianda była przedmiotem konkursu wymowy, podzielono ją pomiędzy profesora Benoit, i hrabiego Bornier bibliotekarza arsenału.

Trzy kobiety: panna Cartillier, panna Bader i panna Drouet otrzymały nagrody za dzieła ulepszające obyczaje. Pan Kamil Rousset autor *Historji Louvois*, otrzymał pierwszą nagrodę Goberta.

Pierwszą nagrodę cnoty Montyon'a (3,000 fr.) dostał Jan Laffray, stary żołnierz z medalem św. Heleny, który przez lat pięćdziesiąt skromne mienie swoje wkładał w bezpłatną gospodę dla ubogich przechodniów. Drugą nagrodę (2,000 fr.) otrzymała Maryanna Feillet, służąca, za poświęcenie dla swoich państwa i ich obłąkanego syna, którego uzbieraną przez całe życie sumką, utrzymywała aż do śmierci.

Karol Blanc wydał część pomnikowego dzieła, któremu część życia poświęcił: „*Histoire des Peintres de toutes les Ecoles, depuis la Renaissance jusqu'à nos jours.*”

Arsen Houssaye ogłosił dwa nowe utwory „*Les Charmettes*” i „*Mademoiselle Cleopatre.*”

